



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

wartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Jednym słowem: zima!... Przyszła tak wczesnie, zaskoczyła tak nagle, wyprzedzając św. Marcina, że nie było czasu zasypać dołów kanalizacyjnych, uprzatnąć wałów ziemi na niektórych ulicach, usunąć rusztowań budowlanych i nabierać funduszków dla tych, co bez pracy zostają.

Mróz chwycił odrazu, nie pytając, że pola ozimną obsiane nie miały jeszcze śnieżystego kożucha, że wszystkich przygotowań do zimy nie pokończono, pośpieszył się i ścisnąć zaczął wszystko po drodze, od ziemi do... nosów ludzkich.

Najwięcej i najserdeczniejszych uścisków dostała bieda i nędza, bo dla niej mróz nie skąpi swoich lodowych ramion.

Dwa najdotkliwsze bicz trzyma ta biała pani, co sanna lub na łyżwach przyjeżdża do nas z pierwszym śniegiem; biczami temi: zimno i głód, a najbardziej smaga niemi nieokryte grzbiety i zapadłe brzuchy biedaków.

Od kilku lat z nastaniem mroźnych nocy, miłosierdzie ludzkie otwiera ogrzewalnie i przytułki noclegowe dla tych, co dachu nie mają nad głową; dla głodnych kęs chleba i łyżka ciepłej strawy z łaski sytych bliźnich się znachodzi. Ratujemy się tedy, jak możemy.

Wspominałem już o nowym, pocziwym projekcie, który się w tanich kuchniach urodził; dzisiaj myśl wcieloną została. Narady szybko doprowadziły do rezultatu dodatniego. Zakrzętnięto się około urządzenia jadłodajni dla robotników i chudeuszów, którzy do południa niezadko o głodzie pracują; i oto od soboty w za-

budowaniu poklasztorne niegdyś X.X. Augustyanów przy ulicy Piwnej, zaczęto wydawać gorące śniadania, złożone z wazki zupy, polewki, kapuśniaku lub kaszy z kromką chleba, za 3 kop. W sali, która przed laty kilkunastu była pierwszym przytułkiem noclegowym, obok ochrony dla dzieci utrzymywanej przez Towarzystwo Dobroczynności, ustawiono dwa długie stoły, nakryto je najtańszym obrusem, bo papierowym, zastawiono wazkami, i jadłodajnia gotowa. Druga podobna będzie urządzoną przy Krakowskim Przedmieściu, a potem, w miarę środków i po wyszukaniu odpowiedniego lokalu, w innych punktach miasta, zamieszkałych przeważnie przez ludność fabryczną. Od wynalezienia takich punktów zależy i pożytek, i powodzenie owych „tanych śniadań“; trudno bowiem wymagać, aby robotnik śpieszący się do pracy o świcie, nakładał drogi, narażał się na opóźnienie dlatego tylko, by zjeść za 3 kop. ciepłego krupniku lub grochówki z boczkiem. On często woli nie dojeść, jeżeli ma się spóźnić i za to być zapisanym do kary, lub wysłuchać nagany werkmajstra. Co innego, gdy może po drodze znaleźć taki tani posiłek: wtedy go nie ominie i chętnie wstąpi, zamiast do szynku na kieliszek wódki, do taniej jadłodajni na wazkę zupy gorącej.

Z tego względu w pobliżu dużych fabryk, pracowni kolejowych i w dzielnicach przedmiejskich powinny być takie jadłodajnie urządzone, bo inaczej dobry pomysł nie na wiele się przyda, ani powodzenie doprowadzi do fałszywych wniosków i zniechęci do nowych w tym rodzaju przedsięwzięć.

Fałszywe wnioski... to rzecz u nas tak zwykła, tak częsta, tak nieraz nieunikniona i tak szkodziła. Oto dla przykładu muszę się cofnąć o parę tygodni i dotknąć tragicznej historii, jaka się wydarzyła w naszym Ogrodzie Zoologicznym. Musieliście zapewne słyszeć o niej; dozorca zwier-

zęząt niejaki Kuczerski, przez własną nieostrożność został w niedźwiedzim dole poszarpany, zduszony i pogrzyziony w okropny sposób przez niedźwiedzia, którego miał nakarmić. W dzikiej bestyi, choć wychowanej od maleńkości w Ogrodzie Zoologicznym, zbudziła się drapieżna natura leśnego zbojcy; rzucił się zagnęła na swego karmiciela, obdarł mu całą skórę z głowy, powygrzyzał policzki, połamał zębra i dopiero ogniem na żerdzi odstraszone porzucił swą dogorywającą ofiarę. Wypadek straszny i bardzo smutny—to prawda, ale zdarza się nietylko w naszym Zwierzyńcu; jednocześnie podobna scena odegrała się także z niedźwiedzim w Stutgardzkim „Thiergartenie.“ „U nas wszelako z tego wypadku zaczęto zaraz wysnuwać fałszywe wnioski bez podstawy, że niedźwiedź dlatego rzucił się na człowieka, iż zwierzęta w Ogrodzie Zoologicznym są niedostatecznie karmione, za mało bezpieczeństwa dają urządzenia klatek i środki ostrożności są zaniedbane; że to i owo, a w rezultacie, że nie warto kupować akcyi Zwierzyńca, w którym się takie okropności przytrafiają.

Nie można było wybrać lepszej chwili do... zaszkodzenia sprawom Ogrodu Zoologicznego, niż właśnie teraz, kiedy chodziło o pozyskanie dla niego jak największej liczby akcyonaryuszów w celu utrwalenia dalszej jego egzystencji na materialnych podstawach przez lat pięć mozolnie budowanych. Zarząd wszelako chwycił się radykalnego środka: kazał zastrzelić nietylko tego niedźwiedzia, który był sprawcą katastrofy, ale i jego towarzysza, zawezwał weterynarzy, aby zrobili sekcję i obdarł kadłuby Misiów sadłem narosłe wystawił na widok publiczny w ogrodzie.

Przekonano się, że zwierzęta były aż za dobrze karmione i głodu nigdy nie cierpiały, a nawet miały utyc na czem; że zatem reporterskie plotki pokrzywdziły niesłusznie opinią zarządu i roz-

puścili niepatrznie szkodliwą wieść dla interesów przedsiębiorstwa.

Czy myślicie, że na tem koniec?... W kilka dni ukazał się w jednym z dzienników list otwarty do zarządu z zapytaniem: jakim prawem pozabawił spółkę akcyonaryuszów dwóch żywych exemplarzy, zabijając niedźwiedzi, które stanowią część majątku całej spółki. To już zwykła wiadomość, ale dziwić się jej nie można w czasach, w których dokuczanie niewinnym ludziom w rozmaitych kierunkach stało się nowym rodzajem sportu, uprawianego przez niesumiennych lub złośliwych potwarców, zgryźliwą zawiść i podstępny intrygę.

Aby spluwać przy każdym takim niechlujstwie moralnym, nie starczyłoby śliny...

Dziewięć dni temu kronika wypadków Warszawy zanotowała fakt bardzo smutny; oto w fabryce narzędzi kuchennych i odlewów żelaznych pod firmą „Wulkan“ na Pradze, należącej do p. Mintra dawniej, a dziś do towarzystwa akcyjnego, pękł kocioł z przyczyn niedostatecznie zbadanych. Wybuch miał skutki bardzo poważne; z tak wielką siłą para rozsadziła swój rezerwoar, że zburzyła przy tem cały budynek, jakby to był domek z kart, zasypała wszystko gruzami, rozniosła części kotła na wsze strony, zabiła dwoje ludzi, a siedm osób poraniła przy wybuchu. Domy zatrzęsły się w posiadach, całe okna z ramami, oprócz mnóstwa szyb wypadły w zabudowaniu fabrycznym, szkody wyrządzone eksplozją wynoszą około 30.000 rs.

I przydarzyło się to fabryce wzorowo prowadzonej i urządzonej starannie z uwzględnieniem wszystkich środków bezpieczeństwa,—z kotłem na tydzień przed katastrofą właśnie oczyszczonym. Nieprzewidywana katastrofa dotknęła przedsiębiorstwo w chwili, gdy zaczęło się ono dźwigać finansowo i gdy akcje fabryki z kursu 15% za 100, skutkiem dobrej administracji i zwiększonej produkcji podniosły się na 60%, a długie obciążające fabrykę znacznie się zmniejszyły.

Firma nieszczęśliwą się okazała dla fabryki; jak „wulkan“ prawdziwy wybuchła i wyleciała w powietrze, obsypując gruzami i dziećmi ofiar, podrywając znowu bilans przedsiębiorstwa i tamując dalszy rozwój na dobrej drodze. Zarząd fabryki energicznie zabrał się do odbudowy zburzonej części gmachu, zużytkowując robotników, pozbawionych skutkiem katastrofy zajęcia i zarobku; na pochwałę jego przezorności dodać należy, że przed niedawnym czasem zaasekurował wszystkich pracowników i officjalistów „Wulkan“ stosownie do pobieranej przez nich płacy, co w danym wypadku zmniejszyło przynajmniej materialne straty, przez katastrofę zrządzone.

Cudze doświadczenie powinno także uczyć rozum panów fabrykantów i właścicieli większych zakładów przemysłowych.

Publiczność warszawska dobrzeby zrobiła także, assekurowając swe... uszy przed powodzią muzyki, która się na nią ze wszech stron rozlewa. Codziennie jakiś afisz zapowiada nowy koncert i głosi nazwisko nowej znakomitości, przybywającej do Warszawy. Grał już d'Albert, ale powodzenia tym razem nie miał wielkiego, bo na jego własnym koncercie były pustki, skutkiem których wyrzekł się trzeciego występu przed kapryśną publicznością; grała Teresina Tua na skrzypcach z większym nieco sukcessem, ale również nie wielkim, pomimo reklamy i zapowiedzi, że to jej ostatnia podróż artystyczna przed zamianą skrzypiec na... męża.

Śpiewała Szwedka Arnoldson, młoda i nader wdzięczna primadonna, wschodząca gwiazda na horyzoncie opery europejskiej; pierwszy koncert miał publiczność gratisową, drugi udał się lepiej, gdy rozgłoszono, iż szwedzki słowik jest naprawdę tak... ładnym, jak go przedstawiają fotografie we wszystkich większych księgarniach wystawione.

Nareszcie udał się tradycyjnie koncert studencki w Salach Redutowych, pomimo nieobecności Mierzińskiego, który nie przyjechał do Warszawy i udziału w koncercie nie wziął. Na jutro zaś mamy zapowiedziany koncert p. Jana Galla, młodego kompozytora, który układa same

pieśni i piosenki, oddawna śpiewane już zagranicą i popularyzowane przez niemieckich nakładców, a chwaloną przez obcą krytykę.

P. Gall pomimo obcego nazwiska jest Polakiem urodzonym w Warszawie, osiadłym we Lwowie, kształconym w Wiedniu, Monachium i w Lipsku; pieśni sypie, jak z rękawa, a we wszystkich śpiewa dusza i serce, wszystkie odznaczają się piękną i szlachetną melodyą i tym liryzmem, który w muzyce najgłębiej przejmuję słuchacza.

W koncercie jego mamy usłyszeć same utwory wokalne na głosy solowe i chór męzki; „Lutnia“ i trzy primadonny naszej opery będą tłumaczami natchnień młodego kompozytora, zajętego obecnie wykończeniem trzyaktowej opery komicznej p. t. „Frasquitta“, osnutej na tle hiszpańskiej noweli Alarcon'a: „Trójgraniasty kapeluszy“.

Możnaby zarzucić kompozytorowi, że do pierwszego swego dzieła większych rozmiarów użył tematu obcego, ale całkiem wytłumaczona chęć zdobycia sobie w pierw rozgłosu, sławy i uznania na szerszem polu, podsunęła mu ów praktyczny środek uczynienia się zrozumiałym dla krytyki i publiczności zagranicznej. Doświadczenie innych, poprzedników i współczesnych p. Galla, nauczyło go tej przezorności i nie pozwoliło mu liczyć tylko na samą krytykę miejscową i na to kapryśne, względne, rzadko szczerze i gruntowne uznanie publiczności naszej, która wszystko, a zwłaszcza talent, przywykła wyżej cenić... z zagraniczną plombą

O tem uznaniu przyszły mi bardzo smutne reflexy na Cmentarzu Powązkowskim podczas przenoszenia zwłok Wołodego Skiby (Władysława Sabowskiego) do nowo-wzniesionego grobowca, na którym „towarzysze pracy nieodżałowanemu kolledze“ postawili pomnik ze składowych funduszów. Rok zaledwie temu nagła prawie śmierć pisarza niepospolitych zdolności, wielkiego wykształcenia, ciężkiej, cichej a pozytywnej i uczciwej zawsze pracy, człowieka głębokiej łagodności i charakteru ujmującego wszystkich, którzy z nim kiedykolwiek mieli sposobność się zetknąć,—przyjętą została głośnie oznakami żalu.

— „Sabowski umarł, autor „Nad poziomym“, tłumacz „Wallensteina“ umarł—ach, co za szkoda!“—powtarzano na rozmaite tony i tym razem współczucie mogło być szczerze, głos uznania niepodejrzany, bo zmarły zasługiwał na nie najzupełniej.

Dwa tygodnie temu poświęcano pomnik ku czci nieboszczyka, przenoszono trumnę z grobu do grobu, prochom jego oddawano ostatnią przysługę, i przy tym akcie uczestniczyła tylko garstka kolegów redakcyjnych, tylko kilka osób ze świata literackiego i najbliższych znajomych niepokieszonej wdowy.

A dzień był pogodny i przez tydzień wpród ogłaszano w dziennikach o całej ceremonii.

Wartoby było pracować dla takiego uznania—gdyby nie poczucie obowiązku spełnianego za życia i chęć użytkowania choćby najślabszych sił, choćby najmniejszego talentu dla wyższych celów, niż pogrobowa pamięć i wdzięczność czyjakolwiek.

Gdyby twórczość nie była osobistą potrzebą, a pracą obowiązkiem i koniecznością życia, nieopłaciłoby się dziś brać pióra do ręki, nawet geniuszom...

„Swoje rób, o resztę nie dbaj“—to jednak właściwsze hasło dla nas wszystkich, skazańców dnia dzisiejszego, na każdym polu działalności prywatnej i publicznej, a owocem czynów naszych, dzieł twórczości naszej trzeba przekazać rachunek z dniem jutrzejszym.

Mam przed sobą pierwszy zeszyt pomnikowego wydawnictwa, podjętego przez ludzi, którzy takasamą najpewniej kierują się zasadą; tytuł jego: „Encyklopedia rolnicza.“ Jest to na szeroką skalę obliczona publikacja, do której materiału podstawowego dostarczyło podobne dzieło wydane staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa, a ukończone przed laty dziewięćmiu i wyczerpane zupełnie w handlu księgarskim.

Obecnie przystąpiono do nowego wydania, opracowanego w znacznej części nanowo z uwzględnieniem wszystkich postępów i zdobyczy w dzie-

dzinie agrykultury, administracji i urzędzeń państwowych w zakresie stosunków ziemian-skich.

Najcenniejsze pióra specjalistów zajęły się obrobieniem tematów i spisaniem artykułów w tym rozumowanym i wyczerpującym słowniku gospodarstwa wiejskiego, który uzupełniany będzie nieustannie w miarę potrzeby i gromadzącego się z każdym rokiem materiału wiedzy, doświadczeń i reform w tym przedmiocie.

Nie można mieć wątpliwości, że wydawnictwo przez wszystkich światłych ziemian naszych przyjęte zostanie z wdzięcznością i że go w żadnym dworze wiejskim nie zbraknie, a co ważniejsza, że znajdzie czytelników pilnych i dbających o rozwój ekonomicznych interesów własnych i kraju całego.

Same poważne firmy zajęły się tem wydawnictwem, znane z inteligencji i doświadczonej obywatelskich zasad; obyło się bez szumnych zapowiedzi, reklamy, konkursów i rzecz prawdziwie dobra przyszła do skutku.

Nie trzeba jednak sądzić, że nas konkursomania zupełnie opuściła, — broń Boże!... z kolei będziemy mieli konkurs na najpiękniejszą główkę kobiecą, nie *in natura*, jak na konkursie wdzięków w Spaa, ale *in effigie*. Oto p. Krywult właściciel salonu sztuki w Hotelu Europejskim, zamierza powołać do turnieju „rycerzy pędzla“ i pierwszemu laureatowi zapewnić 150 rs., drugiemu 100 nagrody.

Nie wiem, czy na tem wiele zyska sztuka i czy nam dużo nowych Greuze'ów przybędzie, ale to wiem, że wystawa p. Krywulta zyska nową atrakcją i zainteresuje przedewszystkiem pleć piękną.

Obecnie ściąga tam licznych widzów kolekcya obrazów utalentowanego malarza p. Jana Styki, który obfity plon pracy i twórczości swojej rozwiesił na ścianach i stalugach tej wystawy. Przedewszystkiem uderza wielka różnorodność rodzajów i kierunków w dziełach młodego mistrza; są tu portrety, pejzaże, studia, obrazy historycznej i religijnej treści, mniejsze i większe. Wszystkie mają wiele zalet, ale i jedną wspólną wadę: jest nią koloryt jakiś przytłumiony, szarawy, cienisty, jakgdyby artysta świat swój widział w słotny dzień jesienny, kiedy na niebie słońce za chmurami świeci i blasków nigdzie jaśniejszych nie rozlewa.

Najefektowniejszym pod względem pomysłu i kompozycji wydał mi się obraz, przedstawiający scenę z czasów Romy klasycznej; nosi on tytuł: „Spotkanie na via Appia.“ Z jednej strony z bachanalii wraca drużyna pijanych i rozochoconych szalem, trunkiem, rozpustą patrycyuszów, niosąc bezwstydnie nagą jakąś heterę, z drugiej drużyna Chrześcijan na marach niesie zwłoki brata w Chrystusie.

To zetknięcie się dwóch światów, ten kontrast dwóch idei, znakomicie udało się wyobrazić p. Styce: przed „Spotkaniem“ można stać długo i zamysleć się i wpatrywać się z zajęciem w obie grupy, które pod każdym względem zasługują na uwagę.

Między portretami znajduje się również jeden z tych, na który spojrzawszy, instynktownie czuje się, że musi być podobny, tyle w nim prawdy, życia, natury i plastyki; przedstawia on mężczyznę w poważnym wieku o wyrazistej głowie, rozumem, energicznym spojrzeniu i siwych włosach.

Takie zbiorowe wystawy prac jednego artysty są i nauczające i ciekawe przez możność robienia porównań i ogarnięcia całości twórczego talentu.

Niebawem podobno zobaczymy mamy szkice, akwarelle i olejne obrazy „pana Franciszka“, nieocenionego naszego humorysty-jubilata, zebrane również na wystawie w jednym z naszych salonów sztuki.

Kostrzewski od tylu lat jest przedstawicielem zdrowego, swojskiego humoru i dowcipu w rysunku; nie potrzeba czytać podpisu pod jego robotami i szkicami, ażeby się szczerze rozśmiać; więc wystawie zbiorowej jego rysowanych i malowanych humoresek, można przepowiadać z góry powodzenie.

Trójca znanych malarzy: Ryszkiewicz, Ma-

szyński i Dowgird, krząta się też około dorocznej wystawy szkiców, która przed Bożem Narodzeniem dla amatorów sztuki i protektorów twórczych talentów dostarczy sporo zajmujących i ponętnych „gwiazdek” malowanych.

Podobno będzie w czem wybierać.

Quis.

NARZECZONA.

(Listy do narzeczonej przez Juliana Mohortę).

(Dalszy ciąg).

„Miłość, czarodziejka wszechpotężna, może wszystko osłodzić, nawet nędzę, nawet chorobę” pisze autor *Listów do przyszłej narzeczonej*, przecież stawia zaraz obok pytanie: „czy istota rozsądna powinna narażać się samochoć na utratę tych warunków życia, które w znacznej mierze o szczęściu stanowią?” Każdy z jego czytelników w odpowie—nie!... najpierw dlatego, że każdy choć odrobiny szczęścia pragnie; powtóre, że tu szczęście łączy się bardzo silnie z wykonywanym obowiązkiem. Wynika z tego, że jak każda „istota rozsądna” nie powinna przy związku małżeńskim lekceważyć względów zdrowia, tak podobnie powinna zastanowić się poważnie nad środkami, które stanowią o utrzymaniu tego ogniska domowego, które się zakłada. Julian Mohort jest za szlachetnym, za podniosłym na życie patrzącym, aby szczęście chciał mieścić w posagu żony, w kapitałach męża, ale żąda w ich miejsce tego praktycznego, chlebobójnego uzdolnienia do pracy, które zapewnia ludziom byt nad braki podniesiony.

Nie ma to nawet mierzyć się wysokością dochodu w chwili danej, ale zdolnością zdobywania go sobie możliwością pracy produkcyjnej, która zabezpiecza od biedy, a nawet daje pod tym względem pewność większą, niżeli kapitał najznaczniejszy w rękach mało zdolnych do utrzymania go dobrze — w rękach człowieka bez rękami moralnych, co stosować się może jednakowo, tak do posiadanego już mienia, jak do zarobków spodziewanych: do tego źródła pracy, która się na zdolnościach do niej opiera. Ważnym też niedoborem książki, z kądną wybornej, jest to, że wśród warunków, poręczających szczęście małżeńskie, nie pomieścił autor siły charakteru, któraby stanowiła hypotekę moralną dla zasobów, jakie się tu znaleźć powinny.

Zdrowie można lekkomyślnie i po ślubie utracić, środki utrzymania roztrwonić, a zdolność zdobywania ich obniżyć, tak przez zmarnowanie sił, jak i przez stracone u ludzi zaufanie. Nie ma przykładów takich. Człowiek słaby jako charakter, tak ulega okolicznościom w życiu spotykanym, że ani on sam za siebie ręczyć, ani nikt spokojnie i bezpiecznie na jego zaręczaniu polegać nie może. Z łomliwego chróstu, z trzciny chwiejnej, nikt się podpory mocnej nie spodziewa, i tak jest z człowiekiem słabej woli, słabych przekonań. Do najwziewszych przymiotów człowieka, bo do zawarowania ich jedynie pewnego należy hart ducha. — „Miłość wszystko może!” — woła apostoł Chrystusowy, przecież wylicza zaraz przymioty tej miłości, które ją tak potężną czynią.

Ale w człowieku słabym nic mocnego niema i być nie może, bo życiem jego rządzą wpływy zewnętrzne, a te przy pewnym temperamencie żywszym tak nieraz unoszą, że zostawiają daleko poza sobą najlepsze chęci, a niejednokrotnie postanowienia najszczęśliwsze. I nie wie on najczęściej, ten człowiek słaby, jak się stało — co go pociągnęło, co wywiodło na te manowce, które leżą poza szlakiem obowiązku? A jakże często można tak wśród nich zabłądzić, tak w nich zagrzeznąć, że powrót staje się bardzo trudnym, niekiedy nawet niemożliwym, bo cechą właśnie słabego charakteru jest tchórzliwa trwoga przed walką, niemoc stawiania oporu, brak dzielności

i niezłomnej siły w postanowieniu. Duch ludzi takich jest gnuśny i ociężały i tylko niekiedy pali się w nich ogień słomiany; nie są też ani zimni, ani gorący, nie posiadają żadnej temperatury własnej i biorą ją od otoczenia swego — jak płazy...

A jak daleko na tej drodze zejść można!... Jeżeli człowiek słaby a namiętny daje się porwać uniesieniom chwili i wpływom, zewnątrz nań bijącym, człowiek słaby leniwego ducha przystaje małodusznie dla wygody, dla miłego spokoju na rzeczy, którym się opierać powinien, które powinien odrzucić od siebie dumnie — przyjmuje położenie wiodące do poniżenia, do upadku godności moralnej: a jakże wtedy strasznym jest los tej strony drugiej, która z taką istotą upodloną życie dzielić musi!

Czy to mąż jest, czy żona — wszystko jedno. Związani ze sobą tak ściśle, połączeni w jedną osobę moralną przez wszystkie prawa boskie i ludzkie, są wtedy jak kajdaniarze nieszczęśliwi z łańcuchem u nogi, którego brzęk słyszą przy poruszeniu każdym. Siła charakteru musi też liczyć się do pierwszych przymiotów człowieka, zawierającego związek tak ścisły, że w zasadzie swojej jest on nierozwalnym.

Gdy zawartym zostanie, praca mająca utrzymać ognisko domowe powinna być dla obojga małżonków wspólną. Autor *Listów* nie wykreślił zupełnie pozadomowej pracy kobiecej z programu ich życia, ale warunkuje ją jedynie potrzebą konieczną. „Siły są różne, a wewnątrzna praca żony, wyrażająca się w gospodarności, porządku i dobrobycie domowym, równie jest niezbędną i jak praca męża” i razem dopiero składają się one na stan rzeczy prawidłowy i doskonale naturalny. Małżeństwo jest wspólnością duchowej natury. Jest ona poczęści i ekonomiczną, na tej też zasadzie autor żąda pracy wspólnej, jakkolwiek niejednakowej — żąda pracy podziału. Jeżeli kobieta, wnosząca do tej wspólki majątek, sądzi, że jest na tej zasadzie wolną od tego obowiązku: od zajmowania się domem — to myli się. Jest w tem coś więcej, niż grosz — coś, co się kupić nie daje i autor zaprzecza bogatej prawi — być leniwą.

Zaprzecza i zaprzeczenie to udawadnia. W gospodarstwie rodziny niezamożnej żona powinna pracować sama: z przyłożeniem własnej ręki, z wydatkiem własnego trudu. W gospodarstwie ludzi dostatnich wyręczają ją inni, co nie stanowi przecież, aby miała zaniedbać obowiązków przewodniczenia domowi swojemu. Praca zmienia tylko rodzaj, ale nie naturę i z własnoręcznej staje się nadzorcą, ale istnieje zawsze, działa i, jako taka, jest dla najmajątniejszej nawet powinnością moralną, od której uchylić jej się nie godzi i uchylić się nie może bez winy. Autor sądzi tu według starej tradycji naszej i tej rzymskiej, która na grobowym kamieniu kobiet uczciwych pisać kazała: „Domu strzegła, welnę przędła...”

A czyni on przytem wyznanie wiary, którą i ja podzielam, że nie może być, aby żona dobra była zarazem kobietą bardzo światową. Średnio zamożna, czy bogata — wszystko to jedno. Każda ma w domu swoim temu domowi poświęconą pracę, bo gospodarstwo to urząd, który autor porównywa z zarządem naczelnika biura, lub inżyniera przy drodze żelaznej. Ale mimo to nawet, czemu zaprzeczyć nie można z zasady, że „na to potrzeba czasu”, jest tu zdaniem mojem jeszcze inna przyczyna, sprawiąca, że kobieta, która jest dobrą żoną, nie oddaje się tak rozrywkom światowym: kocha ona swój dom, ten kącik drogi, gdzie zgromadzone są wszystkie najwyższe skarby jej życia, i dobrze jej tu wśród nich — dobrze jej z pieczę nad niemi!

Każda istota inteligentna czuje przecież potrzebę pewnej wymiany myśli, pewnego pokarmu duchowego. Jak jest głód ciała, jak jest głód serca, głód uczucia, tak jest i głód umysłu: potrzeba żywienia go przez strawę daną myśli. Wymagają też te myśli pewnego ruchu, bo inaczej nastąpi zastój, wyrobi się jednostronność, władze sądu i pojmovania znużą się przez suchoty umysłowe, — ale to co innego jest, można od towarzyskiego istnienia się nie oderwać,

a światową kobietą się nie stać: gronko przyjaciół, gronko ludzi dobrej woli życzliwe sobie mieć i do niego zwracać się dla zadowolenia potrzeb umysłowych i urozmaicenia życia w zetknięciu z ludźmi, w starciu zdań i poglądów. Cnota gościnności po dziś dzień jest cnotą ewangeliczną, jakkolwiek nie odnosi się już do pielgrzymów, którym myło się nogi. Ludzie, potrzebują się dzielić ze sobą komunią ducha, potrzebują uczuć czasem ciepło dłoni bratniej i przypominać sobie obowiązki, odświeżać w pamięci rzeczy, niemające ulegać zapomnieniu. Bez takiej towarzyskości i dziecko źle się chowa w domu zamkniętym, którego nie przenika świeże powietrze życia, nie ożywia jego prąd potrzebny pierśiom do rozszerzenia się należytego — nie grzeje ciepło miłości bliźniego. Ciasny egoizm, ściałyby swym chłodem serca młode, gdyby dziecko chowało się ponuro i samotnie, jak wilczę w kniei — ale, powtarzam, że to co innego, niż to życie, w którym są na porządku stałym: „codzienne wizyty, bale i koncerty.” Autor ma też słusność mówiąc o takim istnieniu kobiety: „Nie uwierzę nigdy, aby żona mająca na to dość czasu — była dobrą żoną.”

Nie nakazuje on przecież kobiecie takiego zapienia się w domu, aby stało się to całkowitem istoty jej zaabsorbowaniem i pisze o „żonie dobrej:” „Nie ubliżyłoby jej wcale, gdyby posiadała jakąś umiejętność praktyczną, któraby bez uszczerbku dla zajęć domowych mogła być rozrywką, a w potrzebie źródłem zarobku.” Że zaś mieścić się w tem mogą i wszystkie wyższe uzdolnienia umysłowe, artystyczne, więc ta „żona dobra” nie jest tu bynajmniej istotą skrupowaną, tylko na stanowisku obowiązku stać zniewoloną.

W kwestyi majątkowej jest autor rozumnie sprawiedliwym i nawet ktoś mógłby powiedzieć, że dla kobiety stronnym, lecz nie: jest on tylko szlachetnym i z podniosłego punktu patrzy na stosunek majątkowy małżonków. Ponieważ związek ich uważa jako wspólne dożywotnie, sądzi, że jest rzeczą godziwą, aby dla celów rodzinnego dobrobytu, rodzinnego utrzymania mąż mógł użyć „za pozwoleniem żony” pewnej części jej kapitału posagowego na jakieś przedsięwzięcie, z którego cała rodzina ma korzystać. Ale stałym środkiem utrzymania powinien być jedynie dochód męża i procent od kapitału żony, bo w ten sposób tylko może być zabezpieczoną jej przyszłość na przypadek wdowieństwa, na przypadek, gdyby mąż wskutek nieprzewidzianych okoliczności zubożonym i dochodów z pracy swojej pozbawionym został. Takie ograniczenie w używaniu posagu żony jest nietylko rozumną i obowiązującą męża troskliwością o jej los, ale przy tak postawionych prawach posagowych, nie byłoby tylu małżeństw dla pieniędzy zawieranych, — nie byłoby tylu łowców posagu i gonitw do grosza kobiety, na czem, niestety! ona sama zapóźno się dopiero poznaje.

Autor *Listów* uważa za rzecz małodziwą obdłużenie przez męża kapitałów żony, wymaganie od niej poręczeń, naruszanie tych kapitałów, co bez winy męża może mieć miejsce tylko w wypadkach wyjątkowych, wobec klęsk, czy wydatków nadspodziewanych, od woli naszej niezależnych, a nigdy w biegu życia zwyczajnym. Mąż powinien myśleć o przyszłości rodziny, o zabezpieczeniu jej bytu na tę chwilę, gdy może go nagle wśród niej nie być. Któż zaręczy, czy szczęśliwa dziś małżonka, nie stanie się jutro wdową żalosną, kirem żaloby okrytą i wraz z dziećmi zostawioną bez opieki i pomocy niczyjej? Autor ma też całą słusność za sobą, żądając od męża, aby mienie żony było nienaruszalnym: wymaga tego troskliwość przezorna i — dodać trzeba — godność mężka.

Ale potrzeba na to, aby rozkład wydatków był — „rozważny!”

Trzeba, aby żona była oszczędna, aby żona nie była marnotrawną, aby „grosz ciężko zapracowany nie szedł: na ogoniaste jedwabie, koki, koronki.” Autor pyta, co sądzić o takiej kobiecie, i jak ją usprawiedliwić „skoro miłości męża używa nie na ulepszenie jego charakteru, lecz na wyzyskanie jego stron słabych?” Każdy człowiek

rozsądny odpowie, że jest to istota lekkomyślna i istota — bez serca!

Lekkomysłna — bo w przyszłość nie patrzy; bez serca, — bo nie troszczy się o tę przyszłość dla męża, dla dzieci i każdy ma prawo z tego punktu widzenia sądzić takie żony, które się do majątkowego położenia męża zastosować nie chcą, — które, czy w ten, czy w inny jakiś sposób żyją nad stan.

„Wybryki bezmyślnych kobiet“... pisze autor, ja zaś raz jeszcze powtórzę i z naciskiem, że są to wybryki kobiet samolubnych, kobiet które uważają męża za groszioroba jedynie, za najmitem, wrzężonego w plug pracy dla zadowolenia ich chęci. Nigdy dla takiej kobiety współczucia w sercu nie znajdę, bo widzę w niej żywioł rozkładowy rodzin.

Autor poruszając tę kwestyę, od której właśnie zależy „w znacznym stopniu szczęście małżeńskie,“ chciał rzucić światło na powód, którego skutkiem wiele kobiet nie rozumie „występności swego marnotrawstwa!“ Przyczynę tego widzi on w tem mianowicie, że większość pańien jest wychowywaną w zupełnej niewiadomości stosunku pieniędzy do rezultatów życiowych, że wszystko sprawiają jej rodzice, i ona nigdy groszem nie rządząc, nie uczy się go oszczędzać, nie rozumie, jak się to rozchodzą summy wielkie na wydatki drobne.

Jest w tem niewątpliwie słusność, ale tylko słusność względna. Dziś stan nasz ekonomiczny tak stanął, że i młode panny już coś wiedzą o tem, iż pieniądze nie czerpie się jak wodę ze studni, iż nieraz trzeba ciężko się o nie kłopotać, iż nieraz następuje brak ich bolesny; ale jest w wychowaniu inna złego przyczyna. Panna na wydaniu bywa strojona z elegancją, oile można, największą; dom, gdzie jest panna na wydaniu, pragnie się okazywać domem dostatnim, domem otwartym, pannę prowadzi się w świat, wozi się na zabawy i wogóle wytwarza jej się istnienie osoby, która braków w danym kierunku nie doznaje, nie czuje ich, a choć obok tego w domu się nieraz biada, choć ojciec często wzdycha na koszt, a matka pragnie najprędzszego wyprawienia córki, panna mimo to przyzwyczajają się do życia nad skalę posiadanego mienia i wraz z niem nabiera upodobań do strojów, do salonów, do gości niestannych; sprawdza się na niej przysłowie ludowe o nasiąkaniu skorupki. Często ani rozum, ani nawet serce nie pomoże już nic: stało się to jej żywiołem, bez którego wyżyć nie może, bez którego nie może czuć się szczęśliwą, z losu swego zadowolona, i wtedy to dzieje się owa rzecz bolesna: „miłości męża używa się nie na ulepszenie jego charakteru, lecz na wyzyskanie jego stron słabych“, a kobieta krystalizuje się w egoizmie wyższym nad wszystko dobre, co w jej naturze zostało przez Boga złożone.

Jest tu znowu oskarżenie matek o miłość dziecka złą. Wielu nazywa takie uczucie miłością zbyteczną, ale ja nie cofam wyrażenia, że jest to miłość zła, bez szlachetniejszych w sobie pierwiastków.

Autor stawia z kolei obraz wychowania inny: po obrazie czarnym — obraz jasny młodości panny „wychowywanej rozsądnie.“ Dorastającej nie uważają jedynie „za kosztowny okaz panny na wydaniu, za lalkę z wystawy sklepowej, lecz za przyszłą gospodynię, żonę, matkę i obywatelkę“ i obznajmijają ją ze stroną życia praktyczną, uczą się do niej stosować, i córka dzieli wtedy z matką trudy zarządu domowego, trudy gospodarstwa; uczą ją przez doświadczenie, jak to trzeba grosza używać, aby starczył na wszystkie potrzeby.

Przy takim wychowaniu niema i potrzeb nad stan, niema fantazyowania wyobraźni, do strojnictwa, do balowania zwróconej, bo ukazywanie poważniejszych stron życia od tego broni. Autor żąda, i słusznie, aby panna na ubranie i wydatki swe osobiste pobierała pewną pensyą i uczyła się gospodarowania groszem — żąda nawet, aby uczyła się już na grosz pracować i dla umniejszenia wydatków rodziny pracę tę spełniać. Może to być na przykład nauczycielstwo i nauka rodzeństwa młodszego, przez co umniejszy się rodzicom wydatków, a powinno być jako praca, już wymagalna, zajęcie się gospodarstwem i umiejętności

szycia sobie samej sukien, bielizny. Taka panna „potrafi uznać zbytek w sprawianiu modnych fatalaszków.“

Niewątpliwie też prawda jest, co autor pisze następnie, że „byłoby to wręcz przeciwnie wszelkim prawom umysłowej natury ludzkiej, aby panna w ten sposób wychowana miała stać się żoną marnotrawną.“ Dzielę zupełnie to zdanie i dodaję, że gdy jeszcze jest w kobiecie rozbudzona należycie strona uczuciowa, gdy to uczucie wraz z pojęciem obowiązku podniesie ponad egoizm, a raczej egoizmowi rozwinąć się nie da, jest rzeczywiście rzeczą przeciwną wszelkiemu pojęciu o naturze człowieka, aby panna taka nie była żoną dobrą — żoną współczującą z położeniem męża — żoną nieuważającą go za wyrobnika na korzyść jej używania.

(Dokończenie nastąpi)

S Z W A B

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

I.

Szybko i równo mknął pociąg kuryerski, spieszący z Warszawy ku granicy pruskiej. Stacyi mniejszych nie raczył uwzględniać, przy większych zatrzymywał się tylko po kilka minut, i ruszał dalej, a dalej, pozostawiając poza sobą miasteczka i wioski, białe wieże kościołów i szare dachy chat.

W wagonie pierwszej klasy, w kacie przy oknie, siedział młody mężczyzna, ubrany w futro bobrowe i taką czapkę. Futro rozpiął na pierśsiach, a czapkę odsunął z czoła.

Kiedy tak spoczywał, pociąg naprzód, rozpatrujący się uważnie po okolicy, z prawicą opartą na kolanie, wyglądał, jak hetman z dawnych wieków, badający terytorium, na którym zamierza stoczyć bitwę. Przypiąc mu tylko czapkę pióro do kołpaka, przypasać do boku szablę, wciśnięć w dłoń buławę: a mógłby pozować malarszowi do portretu wodza polskiego z XVI wieku.

Słusznego wzrostu, zbudowany dobrze, miał głowę okrągłą, czoło szerokie i wyniosłe, nos duży, energiczny, i rysy ostre, jakby pracowitem wyrzeźbione dłutem. Czarny, mocny jeszcze, krótko przyszyty włos, lśnił nad skronią stalowym polyskiem; pod gęstą brwią błyszczały bystre, piwnej barwy, oczy, a drobne rumiane usta zasłaniał ciemny wąs, rozstrzępiony przy końcach. Surowość tego oblicza łagodził wdzięk, rozdziałający brodę na dwie połowy.

Lokomotywa podążała, robiąc bokami, niby koń rozbiegany. Powozy sunęły za nią z głuchym turkotem, owiane długą wstęgą dymu, dzierzganą iskrami, które, wypływając z komina, zlewały się w ogniste promienie, — migły i gasły.

Na dworze było pusto i szaro. Późna jesień rozpięła nad polami swój smutek, zbrukała domy i drogi brudnym deszczem, ogołociła drzewa z liści, a z serc ludzkich wypłoszyła wesele. Dzieci stróżów kolejowych nie bawiły się przed budkami rodziców, nie posyłały za wagonami głośnych okrzyków.

Nie było co patrzeć na ten świat opuszczony; posypać tylko czaszkę popiołem i skarżyć się razem z szelestem gałęzi, z rozplakanem niebem, z wronami drzącymi i krakającymi trwoźnic: marność nad marnościami, bo co się urodzi — konać musi, co kwitnie — okwita, co wierzy i spodziewa się — rozpacza.

Nie było wogóle co spoglądać na okolicę, którą pociąg przebiegał. Naprawo i nalewo, w tył i naprzód, jak daleko wzrok sięgał, rozłożyły się zorane zagony, — nie okrom zagonów. Tu i owdzie

zielenił się kawałek łąki, zamajaczyły na widnokręgu resztki jakiegoś lasu, lub zaczerpnięta się alea topolowa. Gór, borów, rzek, wspaniałych miast, nawet biednych wsi, szukało oko daremnie.

Zdania tego byli widocznie towarzysze podróży przystojnego bruneta: jakiś pan z panią. Jegomość nasunął już w Warszawie, gdy nadkonduktor dał znak do odjazdu, czapkę aż na nos, wcisnął się w róg powozu, owinął się kołdrą i zasnął natychmiast. Tosamo uczyniła jejmość. Nie spał tylko trzeci podróżny.

Zbliżywszy się do okna, przypatrywał się ubogiemu krajobrazowi uważnie, niezrażony jego nużącą jednostajnością. Pociąg minął Pruszków, Grodzisk, Rudę; a on nie zmieniał postawy. Twarz jego, zrazu obojętną, powlekał w miarę oddalania się od stolicy, miękki cień. Z oczu, spozierających przytomnie, ustępował wyraz badochczy, a miejsce jego zajmował żal, pomieszany z rzewnością.

— Jaki to ubogi kraj! a jednak... mój — wyszeptał tak cicho, że usłyszały go chyba jego własne myśli.

W tem zatrzymał się pociąg; konduktor otworzył drzwi i zawołał:

— Skierniewice, dziesięć minut!

Śpiący jegomość zerwał się z miejsca, przetarł powieki, przeciągnął się i, zwracając się do rozbudzonej także jejmości, zapytał pofrancuzku:

— Może napijemy się herbaty?

— Owszem, każ podać, zaczyna być zimno — odpowiedziała pani, otyła, brzydka kobieta.

Dźwięk mowy nadsekwanskiej o kilkanaście mil od Warszawy zdziwił snąc bruneta, bo spojrzawszy szybko na swoich towarzyszy.

— Chłopiec, podaj-no herbaty! — odezwał się powtórnie jegomość, wychyliwszy się oknem, ale tym razem czystą polszczyzną.

Brunet potrząsnął nieznacznie głową, jak człowiek, który nie umie sobie zdać sprawy z tego, co widzi i słyszy.

— Francuzi to czy Polacy?...

Zdumienie jego urosło jeszcze więcej, kiedy na jednej z dalszych stacyi wsiadł do wagonu nowy podróżny.

— A, państwo Złotniccy! zapewne z Warszawki? — odezwał się przybysz pofrancuzku.

— A pan prawdopodobnie z folwarku? — zapytał jegomość. — Mieliliśmy w Warszawie dużo interesów, które trzeba było osobiście załatwić.

— O, wiadomo, że pan Złotnicki zminął się ze swem właściwym powołaniem. Byłby z pana wyborny bankier.

Pan Złotnicki, niski, szatyn z faworytami, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Trudno ograniczyć się tylko na rolnictwie, gdy Pan Bóg liczną pobłogosławił rodziną — wyrzekł. — Dziś przynosi ziemia bardzo mały procent.

— Wiem o tem, wiem — potwierdził przybysz. — Mój Skowroński skarży się tak często na biedę, że uciekam z przyjemnością z domu.

— Ten pański Skowroński musi się bardzo często skarżyć na biedę.

Słowa te wygłosiła jejmość głosem twardym, bezdźwięcznym. Jej rybie, zimne oczy zwróciły się na strofowanego, którego twarz zabarwił lekki rumieniec.

Pan Zygmunt złożył usta do kwaśnego uśmiechu i odparł:

— Trzeba być pobłażliwym dla kaprysów młodości, a pani Złotnicka zawsze taka surowa.

— Zapewne, ale gdy się przekroczyło trzydziesty rok życia, wiedzy chyba czas na rozwagę i stateczność — prawiała pani tym samym tonem starego nauczyciela, który nie znosi oporu.

Uwaga ta nie sprawiła krytykowanemu przyjemności. Obejrzał się zakłopotany po ścianach wagonu.

Nagle, jakby chciał przerwać przykre milczenie, które nastąpiło po napomnieniu pani, zapytał:

— Czy prawda, że nieboszczyk Suchorzewski zapisał cały majątek synowi swej siostry?

— Dziwak, wybrał sobie rzeczywiście na spadkobiercę siostrzeńca, którego nigdy nie widział — odpowiedział pan Złotnicki.

— Podobno to jakieś szwabisko, Müller czy

Szule, lub coś podobnego. Ładnego powitamy niebawem sąsiada! Jeśli tak dalej pójdzie, to człowiek przyzwoity nie będzie mógł mieszkać na wsi.

W chwili, kiedy pan Zygmunt określał w sposób tak lekceważący owego kogoś, podniósł się brunet, będący mimowolnym słuchaczem rozmowy, prowadzonej w żargonie fraancuzko-polskim. Zdawało się, że chce czemuś przeczyć. Usiadł jednak napowrót i oparł głowę na dłoń.

— Dziwna historia tej panny Suchorzewskiej — rzekł pan Złotnicki. — Bawiacz Cieplic ach, czy w Karłowych Warach, bo już nie wiem dobrze gdzie, rozkochała się w jakimś officerze austriackim i wyszła za niego, mimo protestu całej rodziny. Szule, czy tam Müller, dosłużył się podobno stopnia pułkownika i umarł. Suchorzewski, który wypierał się narazie siostry, zbliżył się do niej, gdy owdowiała,łożył na wychowanie jej syna i zrobił go przed śmiercią swoim generalnym spadkobiercą. Pewno to jakie niesmaczne niemczyisko.

— Ale będzie bogaty, bo Suchorzewski zostawił, oprócz swoich folwarków, znaczne kapitały — odezwała się pani Złotnicka.

— Zawsze nic wesołego — mniemał pan Zygmunt — gdy się wie, że o miedzę gospodaruje szwabisko, niezgrabne, śmieszne, skąpe i rubaszne.

W oczach bruneta, który słuchał, choć udawał, że przypatruje się okolicy, zaświeciło szyderstwo. Spojrzał na swoje *vis-à-vis* przelotnie i uśmiechnął się pod wąsem.

— Bywają i między Niemcami ludzie dobrze wychowani — zauważył pan Złotnicki.

— Bez wątpienia, lecz każdemu z nich brak czegoś. Żaden nie ma tego wdzięku, tych śmiałych ruchów, którymi się nasza młodzież odznacza. U nas, jak to mówią, mina i czupryna, a u nich sztywność i rażący brak ogłady.

Powtórnie spojrzano oko bruneta na mówiącego, ale tym razem badawczo. Szukało snać tej miny i czupryny; trudziło się jednak daremnie, bo pan Zygmunt nie należał wcale do rzędu ludzi, na których dość spojrzeć, aby zawołać: *ecce homo polonus!*

Długi, chudy, z głową bez wyraźnego kształtu, jakby pogięty, z rzadkimi włosami, rozczesanymi na środku czaszki, przylepionymi w postaci grzywki do niskiego, męskiego czoła, nie nosił na sobie śladów pochodzenia sarmackiego. Wygolona starannie twarz i żółte „kotleciki“ czyniły go podobnym do dżokeja angielskiego, a zniszczona cera i wyblakłe, wylupiające oczy, świadczyły, że miewał w młodości zbyt wielką ilość owych „kaprysów.“

I pan Złotnicki nie przedstawiał typu szlachcica polskiego. Krótki, więcej szeroki, niż wysoki, z ciemnymi bokobrodami, robił wrażenie bankiera. Z jego piwnych, małych, niespokojnie biegających oczu wyzierał „spryt“, zamiast przysłowiowej serdeczności polskiej.

Dziwnymi musieli wydać się brunetowi ci Polacy, mówiący w połowie swoim, w połowie zaś obcym językiem, ci Sarmaci bez „min i czupryn“ którymi się chełpili, bo szyderski uśmiech nie schodził z jego ust.

— Czy zauważyli państwo — odezwał się pan Zygmunt po krótkim milczeniu — owe śmieszne artykuły, w których pisma gromią Poznańczyków, sprzedających dobra komisji kolonizacyjnej? Nie rozumiem, jak świat pozwala na to, aby ci gryzięćki wyrokowali o rzeczach, na których się znać nie mogą. Ciekawy jestem, co miał zrobić pan Karol, kiedy mu zagrażała ruina, a Niemcy dawali więcej, niż tak zwani swoi.

Brunet słuchał coraz pilniej.

— I ja nie lubię tego zbytniego patryotyzmu — mówił pan Złotnicki. — Niezmiernie łatwo uczyć i sądzić, gdy się siedzi przy zielonym stoliku.

— A jeszcze łatwiej — dorzuciła pani — gdy się nie ma wsi do sprzedania.

— Ma się rozumieć — potwierdził pan Zygmunt. Takiemu chłystkowi zdaje się, że posiada prawo do obrzucenia każdego błotem. Zkąd, z jakiej racy? Kto upoważnił tych gazetników, do dyktowania obywatelstwu przepisów?

— Nie wierzę w patryotyzm, gdzie chodzi o pieniądze — wyrzekł pan Złotnicki. — W takich rzeczach urząda się każdy, jak mu najwygodniej.

Brunet ruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Krew nabiegła mu do głowy, zabarwiając czoło i policzki.

— Znam np. takie położenie — opowiadał pan Zygmunt — Ktoś posiadał dwa majątki, z których jeden zadłużył ponad wartość. Korzystne pozbycie się straconego posterunku ocaliło drugi, nienaruszony dotąd folwark. Ponieważ pruska komisja kolonizacyjna płaci dobrze, daleko lepiej niż kupcy prywatni, przeto oddał im wieś, która już i tak do niego nie należała. Cóż wtem droższego? Dlaczego nie ofiarowali mu owi swoi takiejsamej ceny?

W tej chwili stała się rzecz niezwykła.

Brunet, w którego skroniach nabrzmiały żyły, uchylił czapki i wyrzekł:

— Jestem Mieczysław Ringhofen, siostrzeniec śp. Suchorzewskiego.

— A tośmy sąsiada przywitani! — zawołał pan Zygmunt. Pan pozwoli, że się panu zaprezentuję. Jestem Zygmunt Jastrzębiec.

— Będę się starał przekonać ziomków mojej matki — rzekł Ringhofen, oddając Jastrzębcowi ukłon — że nie wychowała mnie na szwaba, jak się państwo raczyli domyślać.

— O, panie — bąknął teraz pan Złotnicki.

— Nie szkodzi, nie mogliście państwo wiedzieć, że ów „szwab“ znajduje się tak blisko.

Wtem zatrzymał się pociąg przed dworcem w Kutnie.

Ringhofen skłonił się towarzyszom podróży i wyskoczył na perron.

II.

W kilka godzin potem zdążyła szosą, wiodącą z Kutna do Kalisza, karetka prywatna, zaprzężona w cztery nizkie, ale szerokie w grzbiecie, mocne konie.

Pocztylion świstał ciągle, pomagając sobie batem, i trąbiąc, gdy usłyszał turkot kół woza, który biegł ze strony przeciwnej.

Nad smutnymi polami jesieni, zapadła już rychła noc. Księżyc srebrzył puste łąny, przedzierając się przez białawe chmury, przed którymi zdawał się uciekać. Wiatr północny gnał przed sobą obłoki i sprzątał to złudzenie.

W środkowym przedziale powozu, oświetlonym słabo blaskiem jednej lampki, dusiło się czterech ludzi.

Na „numerze“ pierwszym siedział Mieczysław Ringhofen, obok niego spoczywał jakiś starszulek, tylne miejsca zajmowali: handlarz wyznania mojżeszowego, dźwigający na kolanach ogromny kosz, i ktoś czwarty, którego twarz zasłaniał duży kołnierz futrzany.

Zaledwie poczta wyjechała z Kutna, rozpoczął kupiec śledztwo. Obajrzawszy się ciekawie wokoło, zwrócił się naprzód do Ringhofena i zapytał:

— Pan pewno zdaleka?

Zaczepony, nieprzywykły snadź do podobnych indagacji, obrzucił natręta zdziwionem spojrzeniem.

— A mnie mówiono, że pan dobrodziej aż z Wiednia — badał żyd dalej.

Ringhofen milczał.

— A może z Berlina. Pan dobrodziej nie z naszych stron?

— Siedziałbyś acan lepiej cicho, a nie wtrącał się do cudzych interesów — odezwał się starszulek.

— Nu, dlaczego? Przecie jedziemy razem — bronił się handlarz.

— Właśnie dla tego nie powinien jeden drugiemu przeszkadzać.

Słowa te nie trafiły natrętowi do przekonania, bo odwrócił się do numeru czwartego.

— Pan dobrodziej do Kalisza? — zapytał.

Ale ukryty za futrem jegomość nie myślał wdawać się w gawędkę.

— Odczep się odemnie! — fuknął.

— Nu, po co się zaraz gniewać. Zaraz gwałt,

po co... na co? Czy to ludzie nie mogą ze sobą rozmawiać?

Nie odebrawszy nikąd odpowiedzi, pochylił się nad swoim koszem i zaczął coś szeptać do siebie.

Ringhofena bawiła zrazu zmiana ruchu. Wydostawszy się z wytworknego wagonu, znużony równomiernym turkotem pociągu, wsłuchiwał się z przyjemnością w świstanie pocztyliona i w tętent kopyt końskich. Wkrótce jednak poczuł, że go bolą plecy i zebra, że nogi, dla których nie było wygodnego pomieszczenia, cierpną i męczą się; skulił się więc, wcisnął w kąć i nasunął czapkę na oczy.

Próbował zasnąć, ale nie mógł. W uszach brzęczały mu ciągle słowa pochwycone, gdy jechał koleją; niepokoiły jego mózg, paliły serce.

On przybywał poraz pierwszy do kraju, o którym marzył od lat dziecięcych. Urodzony w Styryi, wśród gór i lasów, chował się pod okiem matki, złączonej tęczowo-barwną wstęgą tęsknoty z ziemią, z której ją miłość wyrwała.

Otoczona dostatkiem, przywiązaniem męża i cudami uroczej przyrody, nie straciła Polka pamięci swych stron rodzinnych. O nich tylko mówiła i marzyła na obczyźnie, do nich wyciągała ramiona, i żyła nadzieją ujrzenia ich poraz wtóry. Nie sądzono jej wrócić do wioski ojców. Ciężka niemoc przykuła ją do łoża i zabiła po krótkiej chorobie.

W wyobraźni smutnej kobiety, przetrawiającej bezustannie wrażenia pierwszej młodości, urosło wszystko, co polskie, do rozmiarów nadzwyczajnych. Nie zachwycały jej bogate miasta Europy środkowej, nie widziała wspaniałych krajobrazów południowej Austrii, nie nauczyła się rozmawiać z Niemcami.

— U nas wszystko inne, lepsze, piękniejsze — mawiała.

Gdy pułkownik Ringhofen opowiadał o jakiejś zbrodni, o nikczemności lub podłości, odpowiadała:

— U nas nie mogłoby się coś podobnego zdarzyć. U nas niema zbrodniarzy ani łotrów.

Gdy małżonek chwalił rozum, praktyczność i wytrwałość swoich ziomków, odpierała:

— Polacy nie są kupcami. To naród rycerski, na wskroś szlachetny. Nie potrzebują oni przymiotów potrzebnych szachrajom.

Stary żołnierz uśmiechał się, lecz nie przeczył, nie chcąc drażnić płaczącej żony.

Takie zdania obijały się o uszy Mieczysława od samego powicia. Wyssał je razem z mlekiem matki, którą kochał gorąco, karmił się niemi w latach chłopięcych, i wygłaszał je młodzieńcem.

Wziął on po rodzicielce swojej, nie tylko postać i narodowość, ale i instynkt jej, upodobania i poglądy.

Ileż-to razy, — dzieckiem będąc, — klęczał u nóg matusi i, złożony główkę na jej kolanach, prosił:

— Mamo, opowiedz mi co o moich przodkach.

Wówczas promieniała twarz pułkownikowej, przygaste oczy jej jaśniały radością, a z białych ust wpływały epepeje. Każdy Suchorzewski był jakimś bohaterem homerowym, rycerzem, średniowiecznym w rodzaju Bajarda, dzielnym wojownikiem, znakomitym obywatelem, mężem czynu i ofiary. Historia wiedziała wprawdzie niewiele, a i nie najchochlebniej, o wielkości rodu pani Ringhofenowej, lecz jej sprawiała ta przesada rozkosz niewysłowioną.

— Niech się bawil — mruzczał wtedy pułkownik.

Ale syn wierzył w powieści matki. Był dumnym z autenatów swoich, chełpił się nimi przed niemczykami, popierał nawet dość często powieści swoje doraznym argumentem, kułakiem, gdy ktoś z kolegów ośmielił się być innego zdania.

Choć urodził się i kształcił na obczyźnie, odebrał przecież wychowanie zupełnie polskie. Nie czekał też ani chwili, kiedy po skończeniu nauk uniwersyteckich otrzymał zawiadomienie, że umierający wuj mianował go generalnym spadkobiercą. Wezwany przez adwokata, udał się w drogę natychmiast.

Z sercem przepelnionem tęsknotą matki i własną śpieszył do tej-to ziemi obiecanej, o której słyszał tyle cudów. Kiedy mijął w Sosnowicach granicę, doznawał uczucia wygnania, wracają-

cego na łono rodziny. Zdawało mu się, że powinien uściskać każdego, kogo tylko spotkał. Przypatrywał się ludziom, szukał na twarzach ich uśmiechu przyjaznego, pragnął mówić, mówić dużo, ciągle i upajać się muzyką dźwięków ukochanych.

Ale pierwszą klasą podróżowały w znacznej części osoby zamożne, które uważają sobie za obowiązek wyróżniać się z tłumu. Więc nadstawał Mieczysław daremnie ucha, spoglądał na próżno naokoło siebie. Nikt nie wyciągnął do niego dłoni bratniej, a z pięknych i brzydkich ust wypływała najczęściej mowa obca.

W Warszawie kłaniała mu się służba hotelowa, nadskakiwali mu restauratorzy, ubiegali się o niego dorożkarze. Nie liczył się bowiem z pieniędzmi...

Kiedy opuszczał gród syreni, przechodził przez szpaler portyerów, numerowych, posłańców.

Dziwił się, że w stolicy Królestwa dzieje się taksamo, jak na całym świecie, gorzej jeszcze, bo gawieź cisnęła się tu do niego natarczywiej.

Kiedy jechał do Kutna, stracił już ochotę do zabierania znajomości. Uważniej, krytyczniej, niż na drodze wiedeńskiej, przypatrywał się teraz okolicy. I spostrzegł wszędzie wielkie ubóstwo, a obok siebie słyszał obrzydliwy żargon polsko-francuzki. I przypomniał sobie, że Warszawa wygląda, po białym, czystym Wiedniu, jak odrapany, brudny nędzarz.

Przejrzał częściowo, domyślił się przesady w marzeniach matki, lecz szeptał mimo to:

— A jednak, to... mój kraj.

W wagonie mówiono o jego wuju, o nim, nazwano go szwabem. Krew oblała go wrzątkiem, w gardle dławilo go coś; ale nie odezwał się.

— Szwab?!—powtarzał sobie w myśli, siedząc w karetkie pocztowej.

Cierpki uśmiech zaprawił jego usta goryczą.

Pocztylion zatrąbił, powóz zadudnił na bruku i zatrzymał się.

— Nareszcie Krośniewice — odezwał się „numer czwarty“, wydobywając się z swego futra. Trzeba trochę nogi wyprostować.

I Mieczysław czuł potrzebę „wyprostowania nóg“, znajdujących się przez dwie godziny, jak w prassie. Wysiadł więc z karetki; to samo zrobili starszerek i handlarz.

Naprzeciw budynku prywatnego świeciło się jeszcze w jakimś szynku. Tam weszli podróżni i zażądali herbaty.

Kiedy Mieczysław stanął przy bufecie, spojrzął na niego starszerek i podniósł nagle ręce do góry.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał — Witold Suchorzewski!

Mieczysław odwrócił się szybko.

— Jego siostrzeniec, panie dobrodzieju, Mieczysław Ringhofen — odparł, uchylając czapki.

— Boże, Boże... jakie podobieństwo! — mówił starszerek kiwając głową — ależ istny portret Witolda! Niech cię uściskam, chłopcze, niech cię ucałuję!

— Witold, cały Witold, jak Pana Boga kocham! Tak samo wyglądał nieboszczyk, kiedy biliśmy szwabów pod Miłostawiem. Szedł w ogień, jak stary wojak, choć wachał wówczas proch zaledwie od kilku dni. A niechże cię uściskam!

I objąwszy głowę Mieczysława, pocałował go w czoło.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W ANTYLLACH.

przez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dokończenie ob. Nr 39).

Nigdzie w wędrówkach moich nie zdarzyło mi się spotkać nędzniejszej siedziby wieśniaczej;

smutny ten obraz ujrzałem dopiero na najżyźniejszej ziemi.

Mężczyzna za cały strój nosi, spodnie z grubego płótna szarego lub w paski ściśnięte w stanie rzemieniem, na nich grubą koszulę, pod słoniowym kapeluszem wiąże chustkę bawełnianą, której poszarpane końce spadają mu na szyję — ciżmy z wieprzowej skóry. Ubranie kobiece nie bywa też wykwintniejszym:

Obszarpana, wypłowiała bawełniana spódnica; bosa nogi w płóciennych pantoflach; na opalonych ramionach jakaś szmata, mająca być niby chustką; kolczyki: jeden koralowy, drugi z szyldekretu; długie, potargane włosy, okręcone około bezżębnego tąpakowego grzebienia.

Jeżeli w chacie gość się przypadkiem zjawi, a nie jest to jakiś bardzo bliski, dobrze znany sąsiad, dzieci zaczynają wrzeszczeć w niebogłosy, biegają na wszystkie strony, potrącając się, przewracając, dopóki nie wynajdą najciemniejszego kąta, w który się wciskają, jakgdyby im śmierć groziła.

Ale w dni świąteczne wszystko inaczej wygląda. Jeżeli mąż wybiera się na walkę kogutów lub za interesami do miasta, wyjmuje ze schowania najpiękniejsze szaty. Naciąga trzewiki z cielej skóry, podbite gwoździkami, kładzie płócienne ubranie, czyste i tak wymagłowane, iż świeci się jak pociągnięte lakierem, do tego zaopatruje się w pięć lub sześć jaknajskrawszych fularów, i to co najmniej każdy po półtora reala! jeden przewiązuje przez ramię, drugim okryca szyję, trzeci, otacza głowę pod kapeluszem; w każdej kieszeni również znajduje się jeden fular, którego koniec zwieszać się powinien jaknajwidoczniej i najdłużej.

Jak również, proszę się przypatrzeć jego żonie, gdy idzie na chrzciny, w dzień Wielkiejnocy, lub jeżeli się wybrała tańczyć *zapateo*. Na nogach szafranowo-żółte pończochy, i żółte, zielone lub czerwone jedwabne trzewiki; krótka muślinowa spódniczka; stanik zgrabnie obejska kibić; na szyi chustka w piękny ciążniony deseń, we włosach kwiaty; oprócz tego, co już się uważa za szczyt zbytku, zarzuca na siebie szal z jedwabnych wyczesków. Całości wspaniałego stroju dopełnia niezmierna ilość pierścionków z francuzkiego złota, kupionych u wędrownych kramarzy.

Jeżeli w stajni stoją dwa konie, małżonkowie wyprowadzają oba, dbając o ich przystrojenie, nie mniej, niż o własne. Ogon pięknie spleciony i przywiązany do siodła, grzywa ozdobiona wstążkami, zaprzęgi srebrem nabijane, wierzchowca gospodyni przy uchu ma zatknięty bukiet. Gdy zaś jeden jest koń tylko, mąż siada na siodło, bierze żonę przed siebie, i ruszają w drogę. W ten sposób przebież kubańska wieśniaczka jedzie tylko z mężem, lub z bardzo bliskim krewnym. Jeździe wspartą na swej piersi towarzyszkę obejmuje lewym ramieniem — grupa to śliczna, możecie mi wierzyć, gdyż *guajiro* jest zawsze dzielnym i pięknym jeźdźcem, lepiej jeszcze wyglądającym na koniu, niż pieszo, a żona jego — po większej części istota śliczna, prawdziwa kobieta.

Do ulubionych zabaw Kubańczyków należą walki kogutów, walki byków, wszelkiego rodzaju wyścigi, wreszcie: gonitwa do kaczki. Zabawa to dzika, okrutna, jakiej nigdzie więcej nie spotkałem. Walka byków to jeszcze mniej więcej chociaż trochę bohaterские zapasy; ofiara z góry na śmierć skazana i od niej, ani też od wyrafinowanych tortur, jakie są jej przeznaczone, nie jej wybawić nie może. Ale przynajmniej broni się i pada wśród okrzyków tłumu. Napastnicy też dają dowody waleczności i łatwo w tej zabawie śmierć ponieść mogą.

Walki kogutów — to zabawa licha, pospolita, mająca za podstawę chęć zysku. Głównym magnesem jest tu wysokość stawek. Wobec dwóch walecznych ptaków zabijających się dla zabawy człowieka, człowiek ten wygląda bardzo marnie; ale w gonitwie do kaczki przedstawia się wprost nędznym, ohydny.

Na równej zupełnie płaszczyźnie, wbijają dwa słupy połączone w górze grubym sznurem, pośrodku którego wisi, mocno za nogi przywiązana,

kaczka. Dziesięciu, dwudziestu, czasem nawet znacznie większa liczba wieśniaków na najlepszych koniach zbiera się w odległości trzystu kroków od kaczki.

Przed ostatecznym sygnałem do ruszenia w pole każdy próbuje swego wierzchowca, osadza go na miejscu i zrywa w górę, przykróca strzemion.

Wreszcie na znak dany, cały szereg rusza z kopyta. Wśród chmury kurzu, co nie jest bięną bok przy boku, jeźdźcy uderzają o siebie, klną głośno, a biedna kaczka tymczasem, na widok zbliżającej się chmury, ciska się w powietrzu, wydając jęczące, chrapliwe gęgania. Trzeba podjechać pod sznur, na którym wisi, wspiąć się na strzemionach i, nie tracąc równowagi, uchwycić głowę rzucającego się ptaka, co nie jest łatwą rzeczą, a tu czterdziestu wyścigowców pędzi szalenie do celu. Wyprzedzają się, kłójąc konie ostrogami, niekiedy biją się między sobą, razy padają namiętnie, zwłaszcza, gdy już jest blisko i odpędzenie współzawodnika powiększa nadzieję zwycięstwa. Niejeden spada na ziemię w rozpędzonym biegu i łamie nogę lub rękę, a czem bliżej, tem luźniej ścieśnia się mocniej i leci pod sznur. Jeden szczęśliwiec już doścignął i uchwycił łeb ptaka, ale, wysmarowany mocno tłuszczem, wymyka mu się z ręki, i oto wyścig zaczyna się nanowo.

Zbierają najpierw leżących na ziemi, odnoszą ich na bok, a reszta wraca na oznaczone miejsce, i znowu szalona kawalkata się rozpędza; kaczka krzyczy przeraźliwie, niejedna jeszcze ręka złapie ją, ale bez należytego skutku, bo ten jedynie zostaje zwycięzcą, kto jej ukręci szyję.

Między uroczystościami wiejskimi pierwsze miejsce zajmuje strojenie po domach ołtarzy, na podobieństwo naszych stacyi w święto *Bożego Ciata*. Od dnia 3 Maja urządzają się one po domach, w najparadniejszej komnacie, całe w świetle, w kwiatkach, wstęgach. Ma to na celu uczczenie rocznicy odnalezienia Krzyża Świętego i obchodzą się przez dni dziewięć. Zaprasza się na uroczystości znajomych i zaczyna ją wieczorem: po śpiewach przed ołtarzem następuje wieczera: jedzą, piją, grają, tańczą do rana, gospodarz domu wręcza przy pożegnaniu jednemu z gości kwitnącą gałązkę, co znaczy, że jutro u niego odbyć się ma podobna uroczystość, i tak w kolei odprawia się ta nowenna pobożna, a przy temperancie Kubańczyków, przy ich namiętnem ulubieniu zabawy, zbytków, stroju — wszystko to rośnie, potęguje się z dnia na dzień, i na cześć Ś-go Krzyża wyprawia się szalony karnawał tańców, śpiewów i uczowania niesłychanie kosztownego. Ze świąt uroczystych i świąt kościelnych obchodzą tu bardzo wiele; można powiedzieć, że na dwa dni jeden zaledwie jest powszednim, w którym ludzie robią cośkolwiek. Kobiety stroją się przytem niezmiernie i strój zdaje się zajęciem ich życia; lecz jedna znajoma Kreolka objaśniła mnie, że jakkolwiek tak jest w istocie, dzieje się to jednak z innej, niż w Europie, przyczyny. Francuzka, na przykład, ubiera się, aby wydać się piękną i podobać się; na Kuba — aby odpędzić nudy, aby rozerwać się, podrażnić miłość własną przyjaciółek, co też stanowi miłe wzruszenie i zajęcie przyjemne. Zazdrość jest uczuciem silnie rozwiniętym w ich sercu, a gdy szczególnie, obudzi je Mulatka, Biała Kobieta używa wyniosłe swego stanowiska i nakazuje biednej usunąć się poza krąg, w którym ona jaśnieje.

Potrzeba reform, potrzeba zmian w obyczajach i zwyczajach wyspy uderza każdego Europejczyka, który tu przepędzi dni kilka. Kubańczycy wyżej oświeceni, zwłaszcza znający świat — Europę, pragną tego; żądają przedewszystkiem, aby Kuba ze stanu kolonii przeszła do znaczenia prowincyi i jako taka związana była z krajem macierzystym węzłami równych praw i równego znaczenia. Kubańczyka żywo to obraża, że wyższych urzędników dostaje zawsze z Madrytu, a ludzie to są nieznanący kraju, jego potrzeb, niemający w piersiach żadnego doń przywiązania. Rządzą też źle, źle nawet wtedy, gdy mają wolę dobrą, — i wszyscy Kubańczycy z wyższem, szlachetniejszym poczuciem losów rodzinnej swej ziemi chcą, aby Kuba wysyłała do parlamentu swoich przedstawicieli, tak jak Katalonia, Arra-

gonia i każda inna prowincja Hiszpanii, a wtedy głos ich podniósłby się wobec przedstawicieli kraju, wykazując te rzeczywiste potrzeby wyspy, na które nie zwraca się dotąd uwaga rządu madryckiego. Zniesienie niewolnictwa jest na planie pierwszym we wszystkich umysłach ludzi rozumniejszych i oświeconych poeuropejsku. Tym pospolitszy lęka się tego, bo rzecz przedstawia mu się jako przewrót wszystkich dzisiejszych stosunków i ekonomiczne zruinowanie właścicieli ziemskich; ale dość jest takich, co pojmują to inaczej. Praca czarnego niewolnika nie kosztuje właściciela mniej, niż wtedy, gdyby była wolną i płatną, i tylko też gnuśna obawa zmian zasłania tłumy. Jeżeli jednak stan obecny przedłużą się, to nie tylko powtórzą się krwawe sceny, przez które wyspa już przechodziła, ale Stany Zjednoczone połączą ją i oderwą od macierzy europejskiej, czego pragnie partya pewna, ale czego nie chcą stare rody z tradycją patryotyczną w piersiach—czego nie chce większość mieszkańców, związanych z Hiszpanią, nie tylko przez krew wziętą w żyły z przodków hiszpańskich, ale przez ukształtowanie się zwyczajów i obyczajów na podkładzie idei hiszpańskiej.

Rozpraw na ten temat nasłuchałem się dość i przyznaję, że dołożyłem tu coś z mojej strony. Dnia 10 Marca wsiadłem na pokład dobrze zbudowanego morskiego parowca: *Morro-Castle*, z porządną załogą i pod dobrą komendą. Za pięć dni znajdę się w Nowym-Yorku, będę miał czerwony nos i zmarzniete nogi... Co za radość!...

Za dwa tygodnie, najdalej za dni dwadzieścia, ujrzę Paryż, zobaczę jego kominy i dachy pokryte szronem, usłyszę język ojczysty, słodszy nad wszystkie muzyki świata, sprawiający człowiekowi, który go nie słyszał długo — wrażenie jak-gdyby to były chóry anielskie.

Żegnajcie mi, Kreolki, z malutkimi nóżkami, z malutkimi rączkami, żegnajcie, wielkie czarne źrenice, żegnajcie, białe ramiona, które pieści wiecznie złote słońce—żegnaj, błękitnie, na którym niema nigdy chmurki! I chmury są potrzebne oczom, które patrzyły na nie od dziecka—chmury ojczystego nieba potrzebne są człowiekowi!

Godulo, Paryżanie, dość tego! Chcesz jeszcze żegnać palmy, Murzynów, ptaki w upierzeniu złota i purpury i marzenia na terrasie, wychodzącym na morze, i promienie księżycy, które fale jego srebrzyły. Zabierz to ze sobą, te obrazki, i płyn tam, gdzie cię czeka wszystko, co ci jest drogiem inaczej, niż blaski i piękności nowe, obce—co ci jest drogiem, jak ojczyzna!...

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Października 1888 r.

Uciecha Paryżanów. — Świetny Październik. — Wielki świat i jego *Curriculum vitae*. — Demokratyczne myśli. — Prawo o cudzoziemcach we Francji. — Wypadki zagraniczne. — Wrażenie i sady tutejsze. — Książka Dr. Mackenziego. — Proces Geffekena i przyjęcie rady miejskiej w Berlinie. — „Koniec świata” p. Dru montą. — Nowa powieść p. Zoli: „Marzenie”. — Posiedzenie doroczne Instytutu Francuzkiego. — Odczyt p. Halevy’ego o pierwszym posiedzeniu Akademii Francuzkiej. — Pomnik Shakespeare’a w Paryżu. — *Sic vos non vobis*. — Ślub panny Boulanger’ówny i manifestacja na koniu. — Śmierć księdza Crozes i aktora Bouffé’go. — Wystąpienie pani Huot. Wiwiosekya i stare baby.

(Dokończenie).

Przyjaciele p. Zoli trąbią nam ciągle, że ten zwrot w „Marzeniu” do sztuki idealnej ma znaczenie przygotowywania się jego do kandydatury na przyszłe wybory akademickie. Ja nie wierzę temu, bo wysiłek jest mały, a sama powieść nie ma takiej wartości, aby mogła dać oparcie nadziejom.

Mówiąc o Akademii, nie mogę przemilczeć o jej posiedzeniu dorocznem, które miało miejsce

we Czwartek, 25 Października. Było to raczej posiedzenie Instytutu, zebranie się wszystkich tak zwanych pięciu klas, czyli pięciu akademii. Ale szczególną atrakcją tego posiedzenia była mowa przypominająca publiczności skromne pryncypte Akademii Francuzkiej i jej pierwsze posiedzenie publiczne.

Odczyt miał znany i lubiany autor „Księdza Konstantego” i *Frou-frou*. Niema potrzeby powtarzać, że się wywiązał z tego zadania świetnie i doskonale. W pamiętnikach współczesnych, w listach niektórych akademików, w krótkich protokółach sekretaryatu, p. Ludwik Halevy znalazł materiał do stworzenia niezmiernie zajmującego opowiadania, jednego z najciekawszych dni w epoce Ludwika XIV: dnia 12 Stycznia 1673 roku; Akademia Francuzka po raz pierwszy wtedy otwarła swe podwoje i wezwała publiczność na swe posiedzenia.

To pierwsze zgromadzenie publiczne akademików odbyło się w Luvrze, w dawniejszej sali rady ministrów, i w sali tej mieli oni zasiadać aż do Wielkiej Rewolucji. Przez pięćdziesiąt lat „Czterdziestu nieśmiertelnych”, nie mając stałego lokalu, musiało prosić o przytułek tych ze swych towarzyszy, którzy mogli im udzielić bezpłatnej gościny w swych domach.

Pierwsze owo posiedzenie publiczne, odbyło się nadto wśród rzadkich, ciekawych okoliczności: miano przyjąć trzech nowych członków i wygłosić cztery mowy recepcyjne... Ksiądz Harloy de Champvallon, Arcybiskup Paryżki, dyrektor ówczesny akademii, miał odpowiedzieć trzem nowym „postulantom”, którymi byli: Flechier, Racine i ksiądz Gallois, uczony erudyta. Dawał on lekcye łaciny sławnemu Colbertowi, w karcie, pomiędzy Wersalem i Paryżem, urozmaicał i skracając tym sposobem ustawicznie zajętemu ministrowi podróz, bądźcobądź nudną.

Publiczność, która zwykle z tych posiedzeń akademickich wychodzi znudzona, tym razem zachwyconą została opowiadaniem Halevy’ego, pełnem werwy, blasku i ciekawych szczegółów. Nie brakło oklasków i owacy i chociaż przywykł już do nich Halevy, jako jeden z autorów dramatycznych ulubionych tutejszej publiczności, z widocznym jednak wzruszeniem, upoił się temi oklaskami wybranej i trudnej do poruszenia publiczności akademickich posiedzeń. Treściwie zresztą zebrana i wypowiedziana historia Akademii Francuzkiej, dowodzi raz jeszcze prawdy: *Concordia res parvae crescunt*.

Kiedy się mówi o Akademii i o akademikach, niepodobna niepomyśleć o tych, którzy nigdy do niej nie weszli, chociaż mieli do tego większe może prawo, aniżeli wszyscy jej przeszli, terażniejsi i przyszli członkowie. Takie już jest urządzenie tych instytucji, że zdają się być stworzonymi przeważnie na przytułek mierności.

Oto niedaleko od tego pałacu Mazarinięgo, z którego wychodzimy, dziwny los pokazuje nam pomnik postawiony w Paryżu—Shakespeare’owi! Sto lat temu miano go tu jeszcze za barbarzyńcę. Sam nawet Voltaire, który go przedstawiał Francuzom z wszelkiego rodzaju zastrzeżeniami, prosił, aby mu wybaczone zbyt śmiałe wyrażenia geniuszu, tak odmiennego w myśli i formie od geniuszu Francuzów. Aby Shakespeare wreszcie mógł jakotako przypaść do smaku Paryżanom, modyfikowano go w sposób najdziwniejszy; a dziś stawiają mu posągi.

Prawda, że na odwrotnej stronie znajdujemy objaśnienie tej zagadki, w napisie: „Hold p. Knighton’a Miastu Paryżowi.” Nie jest to więc hold Paryża lub Francji, oddany największemu twórcy po Bogu, jak powiedział W. Hugo, ale jest to hold bogatego Anglika, który, chcąc być udekorowanym Legią Honorową, przyniósł w ofierze Paryżanom swojego Shakespeare’a—Boże, gdzie też się próżność ludzka nie wspina!

Ceremonia inauguracji odbyła się 14 Października. Pomnik, który przedstawia postać Shakespeare’a, z brązu, na postumencie z ciosowego kamienia—nie ma nic, coby zasłużyło na szczególną uwagę. Stojący poeta, w stroju XVII wieku, zdaje się szukać czegoś wokoło... Może szu-

ka prawdziwego powodu, co go sprowadził na jeden z placików paryżkich... Wygłoszono przytem niemało wielkich i czcnych frazesów, a kto może być zupełnie zadowolonym, to tylko p. Knighton, bo i dostał order imię swe przekazał potomności, na plecach Shakespeare’a. O, wielki Wiliamie! przebac im, bo nie wiedzą, co czynią!

Śmierć zbiera tymczasem swój plon niezawodny. Kiedy się jedni wesela, płaczą drudzy nad ciężką, niepowetowaną stratą. Tak oto w Passy, staniowicem dziś szesnasty rewir miasta Paryża, szumnie i świetnie obchodzą wesela córki generała Boulanger’a, szumnie, a nawet dosyć burzliwie, bo zbiegowisko ciekawych i w ratuszu Passy, gdzie się dopełnił obrząd cywilnego ślubu i w kościele S-go Piotra w Chaillot, gdzie spełniony został akt religijny, — było niezmiernie, a nawet około ratusza, aby miarkować zapał Bulanżystów, policja musiała wziąć się do kijów. Jak możecie miarkować z tego, generał zawsze ma swoich zagorzałych stronników, i zwolna, ale się posuwa naprzód, i przygotowuje nową kandydaturę poselską, tym razem już w samym Paryżu.

Co do tego wakującego krzesła Izby poselskiej, stała się rzecz dość dziwna. Jeden z posłów miasta Paryża, niejaki doktor Villeneuve, pokazuje się, że już od lat dwóch, czy trzech, jest w domu obłąkanych w Charenton; za zgodą swoich kolegów, piastuje on przecież i dotąd swój urząd poselski, bo kolledzy zręcznie manewrami pokrywają tę nieobecność. Otóż ostatnimi czasy sprawa wyszła na jaw; nadużycie było krzyczące, i zapewne p. Villeneuve zostanie uznanym za niemogącego spełniać swych obowiązków, a zatem miejsce jego w parlamencie opróżni się i poczeka na Boulanger’a. Jeżeli Izba zechce, to będzie mogła odroczyć wybory do przyszłej jesieni, ale zawsze rozwiązanie ostateczne przyjść musi: i w tym to celu generał Boulanger stawia swą kandydaturę; spróbował już nawet mówki wyborczej na *meetingu* robotniczym. Próba dosyć szczęśliwie się powiodła. Tu jest już mnóstwo ludzi, którzy wierzą ślepo w przyszłość generała, jako Restauratora... ale czego?—żaden z nich nie wie, dosyć na tem, że będzie coś innego, niż to, co jest dzisiaj!

Kiedyż właściwie pisać nekrologi, jeśli nie w wigilię dni zadusznyc? W tej Babilonii nowożytniej wszystko się znajdzie: i ludzie, jak sztaby czystego złota, i śmiecie, od którego człowiek odwraca się ze wstrętem. Nie zapominajmy sztab złotych; wynośmy je wysoko—aby był przykład, a nie zgorzenie.

W tych dniach śmierć zabrała dwóch ludzi, którzy w skromnem swem życiu kochali cnotę, wiarę, kochali Ludzkość. Rzecz dziwna, na jakich kresach społeczności przychodzi ich szukać: ksiądz i aktor!

Ksiądz Crozes—to przez lat dwadzieścia kapelan więzień małej i wielkiej Roquette, więzień, przez których otwarte wrota tylu złoczyńców poszło na rusztowanie.

Małego wzrostu, suchy, nerwowy, czoło wysokie, pokryte długimi białymi włosami,—była to postać znana wszystkim, którzy się nie lekali spojrzeć na rusztowanie gilotyny. W posępny brzasku dnia, na wysokiej platformie ukazywał się ten mały człowieczek, aby dać ostatnią zachętę i ostatni pocałunek przebaczenia.

Tylko miłość Chrystusa może skłonić człowieka, kapłana, do przyjęcia dobrowolnie straszliwej missyi spowiednika i powiernika największych zbrodniarzy. To też ks. Crozes miał jakby namiętność do przewijania straszliwych ran społeczeństwa i zaraz od chwili wyjścia z seminaryum S-go Sulpicyusza zażądał wakującej wówczas kapelanii Małej Roquette, pozostał na tym posterunku, póki mu sił starczyło, a kiedy opuściły go siły, poszedł w szpitalu dyecezalnym szukać uspokojenia na ostatnie chwile życia. Umarł wycieńczony apostolską okrutną pracą. Co ten kapłan słyszał, jako powiernik! na jakie rany patrzył! O, gdyby mógł opowiedzieć te straszne spowiedzi!—ale on, wierny posłaństwu, ponosił je z sobą do grobu...

Na innej scenie i na innej platformie znajdujejery aktora. Bouffe, znany artysta komiczny, czterdzieści lat bawił i śmieszył publiczność wtenczas, kiedy w duszy swej żywił heroiczne i poważne uczucie religijne. Dwa ostatnie pokolenia Paryżanów pamiętają i pamiętać będą jego niezrównaną kreacją „Gamin de Paris“. W tej roli przeszedł on wszystkich współczesnych, i z nim też ona zstąpi do grobu.

Miał on jedynaczkę córkę, którą stracił właśnie w chwili, kiedy, występując w jednej ze swych ról najzabawniejszych, rozśmieszał i porwał przepelnioną salę, aż kiedy, domyślając się z niezwyklej oklasków, że publiczność przed nim już zawiadomiona została o jego nieszczęściu, padł bez zmysłów w objęcia Lafontaine'a, swojego towarzysza na scenie.

Zmarł w swym ermitażu w Autenil. Ażeby nikt się nie mylił, na froncie tego mieszkania Bouffe umieścił statuetkę Najświętszej Panny, która była opiekunką i ucieczką całego życia artysty. Kilka lat temu wydał swe pamiętniki, a w rękopiśmie zostawił: „Moje podróże i moje urlopy (congés)“.

Na zakończenie zostawiam wystąpienie pani Maryi Huot. Jest to dyrektorka i prezydentka ligi przeciw - vivisekcyjnej. Zamiary mogą być szlachetne i prawe, ale p. Huot, znana z wydmowności i energii i z tego, co tu nazywają *toupet*—oprócz prezydencji ligi, złożonej przeważnie ze starych bab, zamiłowanych w kotach i psach obrzydliwych, ma jeszcze specjalność przerywania konferencji p. Pasteura i wytaczania podręcznych wojen w obronie wielbionych czworonogów.

Oddano też jej pięknem za nadobne. Zaproszony, nie dotrzymałem do końca, ławki były zajęte przez studentów, którzy widocznie przyszli się zabawić.

Trzeba wiedzieć, że zwykle tym konferencyom p. Huot przewodniczył doktor Castelnau; kiedy się więc na estradzie ukazał niejaki p. Arzon-sart, publiczność zaczęła żądać p. Castelnau. Dalej, za ukazaniem się p. Huot, przyjęto ją oklaskami, widocznie z ironią i żartem. Prezentka przed rozpoczęciem odczytu wychyla szklankę wody:—Na zdrowie!—woła publiczność. I za wasze zdrowie—odpowiada niezmiészana pani. I tak bez ustanku przerywają jej wątek, domagając się wiadomości o p. Castelnau. A kiedy nakoniec p. Huot wygłasza ten pewnik, że Pasteur jest to prosty reklamista, pleć mężka *in gremio* opuszcza salę i ja też wychodzę wraz z nimi.

W gruncie rzeczy p. Huot i jej liga mogą mieć pewną rację; ale chcąc tej racji dowieść, potrzeba mieć więcej nauki i znajomości przedmiotu.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Tania kuchnia Nr 3**, z przeznaczeniem wydawania śniadań dla ubogiej ludności, została otwartą dnia 16 Listopada w zabudowaniach poaugustyańskich. Instytucja to miłosierna wielkiej użyteczności i Bóg by dał, aby mogła mieć filie w innych jeszcze stronach miasta, zamieszkałych przez ludność robotniczą. Przy akcji otwarcia obecny p. R. F. złożył na ten cel rs. 5.

— **Wystawa szkiców malarskich** otwartą zostanie, jak corok, w początkach Grudnia. Urządzeniem jej w tym roku zajmuje się malarz Tadeusz Dowgird.

— **Cykl prelekcji higienicznych** ma być ogłoszonym tej zimy przez lekarzy warszawskich, w celu rozjaśnienia w tym kierunku pojęć naszego ogółu. Ma to obejmować higienę mieszkań, pokarmów, odzieży, higienę wychowawczą. Rzecz ważna dla matek.

— **Towarzystwo muzyczne** urządzić będzie przez ciąg zimy wieczory, poświęcone jednemu tylko kompozytorowi.

— **Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** dokonało trzeciego zakupu dzieł sztuki, do rozłosowania między członków, w summie 1.760 złr. Łącznie z poprzednimi zakupami wydało *Towarzystwo* na ten cel w roku bieżącym 11.480 złr. *Towarzystwo* zapewniło stałą subwencję czasopismu ilustrowanemu *Świat*, wychodzącemu w Krakowie pod redakcją p. Zygmunta Sarneckiego, czyniąc je organem swoim.

— **Odkryto rękopismo** po zmarłym profesorze Zygmuncie Wróblewskim i odesłano je *Akademii Umiejętności* w Wiedniu. Odkrywca jest p. Zakrzewski, asystent przy katedrze fizyki w Uniwersytecie Jagiellońskim.

— **Studjum o Mickiewiczu** zostało zamieszczone w węgierskim czasopiśmie: „A mayar Ifjusag Közlönye;“ „Pan Tadeusz“ został tam uznany za arcydzieło, jakiego nie posiada żadna literatura nowoczesna.

— **Dr. Ksawery Gałęzowski**, zamieszkujący Paryż, oftalmolog, zajmujący tam wysokie stanowisko między powagami lekarskimi, wydał w języku francuzkim dzieło: *Hygienu wzroku*.

— **Patryotyczny malarz francuzki** poświęcający głównie pędzel swój malowaniu bitew, Alfons de Neuville, zmarły niedawno, otrzyma od narodu pomnik, który wzniesionym zostanie w Paryżu, gdzie już składki na ten cel zbierać zaczęto. Najwybitniejszym dziełem jego, jako sztuka i uczucie, które ją ożywiało, jest obraz z wojny francuzkiej z Niemcami: „Ostatnie naboże“ (*Les dernières cartouches*).

— **Crispi** wśród rozpraw parlamentu włoskiego nad prawem rękami bezpieczeństwa publicznego dał głos za cenzurą dzieł teatralnych na zasadzie, że moralność stanowi jedną z tych podstaw. Że jest to przecież głos człowieka bardzo wolnomyślnego, nikt przeczyć nie może.

— **Weloński**, osiadły w Rzymie na *via Margatta*, pracuje nad pomnikiem kardynała Czakiego, który stanie w rzymskim kościele św. Prudencji. Pracownia naszego artysty pełna jest prac już wykończonych i rozpoczętych. Wśród tych ostatnich znajduje się posąg mitycznego barda Sławiańszczyzny, Bojana.

— **Kolonie czeskie** w Ameryce są najdawniejszymi koloniami słowiańskimi za Atlantykiem. Po nieszczęśliwej bitwie pod Białą Górą w roku 1620 emigracja czeska zaczęła tam wysyłać wkrótce pierwszych swych tułaczy, bo 1648 roku dwudziestu Braci Czeskich osiadło w Stanach Zjednoczonych. Po drugiej klęsce podobnej, we dwieście lat potem, bo w r. 1848 kolonie czeskie zaczęły rość w liczbę i obecnie jest w Ameryce 400.000 Czechów, z pośród których 50.000 mieszka w Chicago. Emigracja czeska składa się z robotników, rolników i rzemieślników—z klasy pracującej, która przecież umie sobie zapewnić na dalekiej obczyźnie dobrobyt tak znaczny, że majątek Czechów w Chicago liczy się na czterdzieści milionów dolarów. Przygotowanie do tego w oświacie należytej wynieśli z ojczyzny.

Niema między nimi żadnej centralizacji ogólnej; przeciwnie, dzielą się na wiele stronnictw nieprzyjaznych sobie i żywo ścierających się ze sobą. Istnieje jedno tylko wielkie *Stowarzyszenie wzajemnej pomocy*: „Crepes“, liczące 8.000 członków. Każdy biedak może tu otrzymać pięć dolarów zapomogi tygodniowej, a po śmierci członka towarzystwo wypłaca wdowie lub sierotom 1.000 dolarów. Na obczyźnie przynieśli przecież Czesi z ojczyzny stowarzyszenie gymnastyczne: *Sokolów* i tych jest w Ameryce 15 oddziałów. *Sokol* czeski w Chicago łączy się bratersko z takimże stowarzyszeniem polskim, któremu przyszedł początkowo z pomocą bratnia. Jest przytem jedno stowarzyszenie kobiece: „Spolek czeskich dam“, i każda kolonia tworzy osobny jego oddział. Czasopism posiadają Czesi 50, lecz szkół codziennych z wykładowym językiem własnym tylko trzy: jedną w Chicago, dwie w Nowym Yorku; przecież Czesi nie zatracają języka swego, bo dzieci mówią nim w rodzinie, a przytem posiadają w każdej kolonii własne szkoły niedzielne i wieczorowe, a ogólny nastrój życia nie pozwala żywiolowi czeskiemu rozplynać się w społeczeństwie amerykańskim. „Domów Narodnych“ to jest miejsc zbierania się wspólnego—gospód, wybudowali sobie Czesi siedm, i przy każdej z nich urządzają biblioteki czeskie, dają przedstawienia teatralne w języku ojczystym. Stosunki z krajem rodzinnym są ciągle, ale piecza o język i szkołę jest wśród wychodźstwa czeskiego najsilniejszym i najszlachetniejszym objawem życia narodowego. Kościołów własnych posiadają liczbę znaczną, większość jest katolicka.

1^{sza} Szkoła koronkarstwa

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek rozpoczął się w roku bieżącym w dniu 20-tym Listopada. Zapis odbywa się we Wtorki i Czwartki od godziny 12-iej do 1-iej z południa. Desenie różne podług wzorów „Bluszczu“, oraz wszelkie przybory potrzebne do wyrobu koronek, nabywać można w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania Nr 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.

TREŚĆ Pogawędka. — Narzeczona, (dalszy ciąg). — Szwab, (Szkic do powieści), przez Teodora Jeske-Choińskiego. — **W Antyllach**, podróże dokończenie, przez Quatrelles'a. — **Nowiny paryżskie**, (dokończenie). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a — **Przegląd mód.** — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu**

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 9 Ноября 1888 года.